

Zawsze jest czas, by zaczynać od nowa

Wywiad z Małgorzatą Kalicińską, autorką poczytnych powieści, przeprowadziła
Elżbieta Wozowczyk-Leszko

– Ciepłe i niebanalne opowieści o sprawach dziejących się tu i teraz sprawiły, że na kartach Pani książek odnajdujemy obrazy z własnego życia. Dlaczego „kura domowa” sięgnęła po pióro, co najbardziej ceni w życiu i czy lubi dawać dobre rady, dowiemy się z rozmowy.

– Moja historia to taka bajka o pucybutce. Wyszłam niejako z kuchni, chociaż nie całe życie tam „garowałam” i wystartowałam od razu jako osoba pisząca (ciągle jakoś ta „pisarka” nie może mi przez usta przejść). Nie wiem, ile lat będę musiała czeladniczyć w tym zawodzie, żeby się sama nazwała pisarką. Mam w sobie sporo pokory. Poprzednio było całe mnóstwo różnych zawodów, z których najważniejszy to „pani domu”. Mimo całego mojego feminizmu, zaangażowania się w sprawy kobiet (zaangażowania mentalnego, bo nie działałam nigdzie aktywnie), uważam, że rola kobiety domowej, jeśli jest z wyboru i jest lubiana, jest ważna i w moim przypadku tak było.

– Napisała Pani wyjątkowo optymistyczną książkę, choć losy jej bohaterów są bardzo pogmatwane. Co sprawiło, że powstała?

– Napisałam ją wyłącznie dla siebie, w momencie, w którym, jak to się teraz mówi, dałam po bandzie. Życie mnie bardzo przykro doświadczyło (zbankrowaliśmy). Mielę to w wielu wywiadach i pewnie ludzie mają już tych opowieści dosyć, ale niektórzy czerpią z tego siłę. Doświadczyłam faktu, że los jedną

ręką zabiera (bo nam zabrał absolutnie wszystko), a drugą ręką daje. Tylko bardzo często nie dostrzegamy tej drugiej ręki, która nam coś daje. To są nasze ukryte talenty, przyjaciele, pomocne osoby czy zdarzenia. No i mnie się to wszystko wydarzyło. Po pierwsze jakiś talent ze mnie wylaźł, po drugie moja córka bardzo we mnie wierzyła i bardzo serdecznie pomagała, po trzecie pan Tadeusz z Poznania, który mnie wydał, miał we mnie świętą wiarę. To wszystko sprawiło, że rzeczywiście życie mi się odmieniło po tym ciężkim upadku i przykrym doświadczeniu.

– Nigdy nie przyszło Pani do głowy, że książkę ktoś mógłby przeczytać, wydać, skrytykować, zachwyć się?

– Pisałam do szuflady, absolutnie. Miałam strasznie małą wiarę w siebie, ponieważ nigdy wcześniej, nigdzie, donikąd nie pisałam. Umiałam tylko pisać. Pracowałam w telewizji, udzielałam się w programie na żywo i szło mi to bez tremy. Wymowa, która jest w miarę potoczna w moim wypadku, nie przeszkadzała mi, natomiast nigdzie nie byłam „wypisana” i nie wierzyłam, szczerze mówiąc, że piszę jakieś epokowe dzieło. Rzeczywiście ugłaskałam swoją własną duszę. Ale to też jest tak, że jak ma się pięćdziesiąt lat, to nie robi się tego po łbach, jakby robiło się sweter na drutach. Będę ten sweter pruć i poprawiała tyle razy, aż będzie na mnie leżał w sposób doskonały. Tak samo dopieszczałam tę książkę, nie myśląc o tym; moja córka była przekonana,

że to będzie coś, co zaproponujemy wydawcom. Oczywiście, gdzieś tam pod skórą, jak już skończyłam tę książkę pisać, to takie były mróweczki „a może jednak?”. No i wtedy moja Baśka tupnęła nogą i powiedziała: „Jasne, że tak, wydajemy”.

– Oczywiście cały czas mówimy o książce *Dom nad rozlewiskiem*, która zapoczątkowała cykl opowieści „nad rozlewiskiem”.

– Tak, mówimy wyłącznie o tej książce, dlatego że była pisana bez portretu wyobrażenia odbiorcy. Odbiorcą byłam ja sama. I może dlatego ta książka trafiła do dziewczyn, plus minus pięćdziesiąt, plus minus czterdzieści. Trzydziesto- i dwudziestolatki też zdarzają się w gronie czytelnicy, może dlatego że jest to książka nieprawdopodobnie autentyczna w sensie emocjonalnym. To nie jest moja autobiografia, to jest kreacja, gdzieś jednak podparta moimi doświadczeniami życiowymi. Nie napisałam jej na zamówienie czy po to, aby zrobić oszałamiającą karierę.

– Akcja książki rozgrywa się w agencji reklamowej. W Pani życiu taki epizod też miał miejsce. Czy dostarczył aż tak wielkich emocji, które skłoniły do głębokiej refleksji nad tym, dokąd zmierzamy, kim jesteśmy?

– Główna bohaterka, Gosia jest na swój sposób – początkowo mogło by się wydawać czytelnikowi – dość szczęśliwa. Natomiast ma swoje zahamowania, problemy, kompleksy, nieudany związek, w którym czuje się szalenie niepewnie. To, w czym naprawdę czuje się pewnie, to macierzyństwo i związek z Manią, z którą jest w bardzo dobrych układach. Myślę, że w pewnym momencie Gosia zaczyna siebie lubić, a dopóki same siebie nie polubimy, to naprawdę niewiele możemy zdziałać przede wszystkim dla siebie, ale też i dla świata.

– W tej książce nie znajdziemy gotowych recept i odpowiedzi na pytania, które mogą dręczyć kobiety, co zrobić ze swoim życiem. Jedyna odpowiedź jest taka, że jak chcesz, to możesz.

– Przede wszystkim jest to książka o poszukiwaniach. To nie jest moralitet. Moja bohaterka popełnia błędy, gafy, ale naprawia je. Tak jak każda z nas. Nie ma tu recepty, ale głośne zawołanie „szukaj!”. Jeżeli masz za ciasny kostium, to go zmień albo go rozpruj i uszyj na nowo. Jak cię maska nałożona na twarz pije, to ją zdejmij. Pokaż światu swoje prawdziwe oblicze. Jeśli świat z tobą nie wytrzyma, to niech idzie w bok. Jest to książka o poszukiwaniach i o tym, że

można się mylić. Z kolei w *Miłości nad rozlewiskiem* głównym przesłaniem jest to, co bardzo chciałabym, żeby weszło w krew ludziom, a mianowicie, żeby przebaczało. O tym, że można przebaczyć i z przebaczeniem żyje się lepiej jednej i drugiej stronie.

– W Pani książkach jest bardzo dużo rozmyślań o tym jak kochać, jak przebaczać właśnie, jak radzić sobie z miłością, zazdrością, namiętnościami, które targają ludźmi. Dodatkowo bohaterzy uwikłani są w niezliczone problemy – alkoholizm, rozbite rodziny, nieudane związki, choroby.

– Myślę, że jak popatrzymy do tzw. statystycznej rodziny, to w każdej coś jest. Jestem zdumiona tym, że Polska znów weszła w etap lakieru i cukru. Wmawia się nam na przykład, że osób niepełnosprawnych praktycznie rzecz biorąc, nie ma. A to dlatego, że się im ograniczyło dostęp do, że tak powiem, normalnego świata. Owszem, są podjazdy i czasami windy, ale to nie zafatwia sprawy. My nie jesteśmy gotowi na integrację z osobami kulawymi, upośledzonymi, posługującymi się o wiele lepiej białą laską, dotykiem, słuchem niż wzrokiem. W nas leży problem. W każdej rodzinie znajduję się ktoś, kto ma jakąś skazę. Albo jest to mniej lub bardziej ukryte picie, albo są to jakieś problemy z charakterami. Tylko pisanie o tym jest traktowane na zasadzie: „O matko, ile tu Pani nawsadzała nieszczęść!”. To nie są żadne nieszczęścia. Myślę, że jest to taki duży portret prawdziwości, jaka znajduje się w naszych rodzinach. Życie dużo mnie nauczyło i wiem, jak te rodzinne mozaiki wyglądają. Też spotkałam się z tym peerelowskim lakierem: „no nie, nasze społeczeństwo jest grzeczne, układne, nie ma żadnego alkoholizmu, kalecy tylko powojenni”. I dzisiaj, po pewnym okresie odwilży, mamy to samo. Znów w szkołach nie ma żadnego problemu, niepełnosprawni żyją w raju. Ja przeciw temu protestuję, mnie się to nie podoba. W tej książce są takie osoby ze skazami, dlatego że my wszyscy jesteśmy ze skazą. Nawet najpiękniejsza kobieta może okazać się heksą albo złością i też będzie miała tę skazę.

– Czyli jest to literatura faktu, obyczajowa, trochę dziennik, to co Pani lubi najbardziej?

– Fotografia współczesnego społeczeństwa, współczesnej rodziny, podana na ograniczonym półmisku, bo ja jestem osoba ciepłą.

– Przeczytałam gdzieś, że chciałaby Pani napisać „Dzieci z Bullerbyn dla dorosłych”, czy to prawda?

– Kiedy zaczęłam pisać *Dom nad rozlewiskiem*, moim zamierzeniem było, żeby powstała książka tego typu. Jak byłam dzieckiem i było mi źle, to sięgałam po *Dzieci z Bullerbyn*. A jak było mi źle, kiedy upadł nasz majątek, kiedy zbankrutowaliśmy, to chciałam napisać „*Dzieci z Bullerbyn dla dorosłych*”. Tak nazywam *Dom nad rozlewiskiem*. W nim jest bardzo dużo moich fascynacji literackich i można tam, troszeczkę szperając, odnaleźć osoby, które wycisnęły na mnie jakieś literackie piętno. Na pewno będzie to Astrid Lingren, od niej nie odwrócę się nigdy.

– Wróćmy do Pani „zając” sprzed pisania książki. Jak spełniała się Pani w roli nauczycielki biologii? Jak czuła się Pani w roli absolwentki Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego?

– Zrobiłam straszny błąd, idąc na studia, które wymyśliłam „od czapy”. To były czasy, kiedy kończyło się, jak się coś zaczynało. Moja mama tego ode mnie wymagała. Jestem córką nauczycielki i przez całe życie powtarzałam, że nigdy przynigdy nie zostanę belfrem. Po czym, jak obroniłam pracę magisterską w Instytucie Oświaty Rolniczej, to swoje kroki skierowałam do szkoły w Konstancinie Jeziornej, a potem pracowałam w podstawówkach na Gołwaniu. Także ten gen belferski gdzieś jest, naukowcy muszą się za niego zabrać i wreszcie go odkryć, dlatego że mimo tego odżegnywania się, ten gen sprawił, że przez kilka lat byłam nauczycielką. Ogromnie sobie to ceniłam, bardzo lubiłam tę pracę. Jak też chyba wszystkie inne. Jestem osobą w miarę pogodną, tylko że spod znaku wagi wrześniowej, a to oznacza słomiany ogień. Zapalam się, płonę i jak gasnę, już nie wracam do tego, co za mną, więc ani do belfrowania nie wróciłam, ani do telewizji, ani do innych zawodów, które wykonywałam. Teraz jest zupełnie coś innego przede mną. To, że ktoś zaczął pracę w którymś tam roku i po pięćdziesięciu latach przechodzi na emeryturę z goździkiem, to wspaniale, a to, że my siebie zmieniamy i przeskakujemy z jednego miejsca na drugie zawodowo czy emocjonalnie, to nic złego, po prostu wrześniowe wagi tak mają.

– Duży sukces *Domu nad rozlewiskiem* sprawił, że stała się Pani osobą popularną, rozpoznawalną. Na spotkania z Panią przychodzą tłumy czytelników. Jak była kura domowa radzi sobie z nowymi obowiązkami? Czy zostanie Pani pisarką?

– Szczerze mówiąc... ciągle mi to słowo pisarka... nie chce jakoś... Będziemy próbować. W każdym razie teraz zajmuję się rzeczywiście tym, co robią pisarki, a mianowicie jeżdżę na spotkania z czytelnikami. Pisanie odłożyłam na jakiś czas, ponieważ potrzebuję skupienia i takie skakanie po Polsce ruchem konika szachowego nie sprzyja czemuś takiemu. Mogę najwyżej skupiać się w małych formach, co też czynię, pisując do wspianego czasopisma „Bluszcz”, które promuje bardzo dobrą literaturę. Niechęć znalazłam się tam jako parafelietonistką, dlatego że są to rzeczy, które stoją gdzieś obok felietonu. Dopiero uczyć się, ale jestem ogromnie wdzięczna, że mogę robić coś takiego po raz pierwszy. To jest w ogóle wielka frajda, jeśli człowiek w moim wieku, czyli w tej takiej drugiej połowie owocującej, nie mówię o owocach w osobach dzieci, tylko mówię o owocach mentalności, umysłu, kiedy człowiek w drugiej części życia może się uczyć różnych nowych rzeczy. Mnie to się podoba. My, wagi tak mamy. I oby tak się działo do końca mojego życia. To jest bardzo ciekawe.

– O ile *Dom nad rozlewiskiem* to książka, którą napisała Pani dla siebie, to podejrzewam, że następne były już wynikiem zapotrzebowania czytelników, no i pewnie ten wydawca chciał, skoro tak dobrze poszło z pierwszą.

– Pan Tadeusz bardzo zaufał mojemu pióru, czując w tej książce jakiś potencjał. I to, że namówił mnie do napisania *Powrotów nad rozlewiskiem*, wycisnęło ze mnie rzeczywiście dużą dawkę emocji. Jest to książka szalenie wprost lubiana przez pokolenie plus minus pięćdziesiąt pięć, nawet pokolenie starsze. Na spotkaniach z czytelnikami starsze panie mówią mi ze łzami w oczach, że po pierwsze nie ma dla nich książek współcześnie pisanych (oni nie są tzw. target grupą) i to jest jedyna książka, która do nich bardzo głęboko przemawia. Musiałam wykonać spory szpagat umysłowy, żeby sięgnąć do lat, których nawet nie pamiętam. Rok 1945... moja mama była osobą bardzo młodą, więc co dopiero mówić o mnie. No ale od czego jest dokumentacja i wiedza zdobywana na ten temat... Tak więc sobie myślę, że ta książka słusznie powstała i słusznie pan Tadeusz ją ze mnie wycisnął. Natomiast *Miłość nad rozlewiskiem* wywierciły mi w brzuchu czytelniczki, ale zapewniam, że to już jest koniec. Nie będę ciągać flaka dalej, dlatego że zrobiłabym krzywdę i czytelnikom, i sobie. Trzeba skończyć w dobrym momencie.

– We wszystkich Pani książkach pojawiają się przepisy kulinarne. Czy opracowała je Pani i wypróbowała samodzielnie?

– Jak ma się pięćdziesiąt dwa lata i jest się ustawicznie matką karmiącą, to te przepisy są po prostu integralną częścią takiej kobiety. Tym bardziej przyjemnie było mi je wkładać do książki, bo wiele z nich to są „bieda potrawy”, które bardzo chciałabym uratować od zapomnienia. Te „bieda potrawy” też są nostalgicznym wspomnieniem wielu osób, które przychodzą i mówią: „wie Pani, u mnie w domu też robiło się zupę z dyni czy też robiło się gołąbki ziemniaczane, i jak to fajnie, że Pani to przypomniła”. Ogoralnie cieszę się, że wpadłam na tak genialny pomysł.

– Jedna z Pani bohaterek mówi, że „lepiej być dobrym rzemieślnikiem niż do d... artystą”.

– To są słowa mojego ojca. Jak w ciężkich bólach rodziłam te swoje studia na SGGW AR, wiecznie obrywając dwóje albo trójce, podsłuchałam, jak tato mówił w łazience do mamy „Marynko, niech już ona przestanie się tak męczyć. Lepiej być dobrym rzemieślnikiem niż do dupy magistrem”. Poczułam wtedy ogromną frajdę, że tato mnie rozumie, że wie, o co w tym wszystkim chodzi. Myślę, że może jednak dobrze się stało, że dociągnęłam te studia do końca i nie jestem rzemieślnikiem... A może jestem? Muszę to przemyśleć.

– W Pani książkach często pojawia się motyw matki. Przychodzi taki moment, kiedy odrywamy się od swoich rodziców. Czasami na stałe, czasami wracamy, bywa, że w różnych okolicznościach.

– Myślę, że jest to długi proces. Swego czasu przeczytałam artykuł o strasznych konfliktach międzypokoleniowych, między matkami i córkami. Byłam tym zdruzgotana. Po pierwsze – nie miałam żadnych konfliktów z własną córką, nie miałam też wielkich konfliktów z własną matką. Jednak gdy zaczęłam rozmawiać na ten temat z dziewczynami, okazało się, że różnie to bywało. Przeczytałam też mądrą książkę o tym, że to przede wszystkim w świecie chłopięcym jest tak, że chłopiec musi oderwać się od matki, żeby stać się mężczyzną. Było to porównane z wyprawą po świętego Graala. W tym wypadku świętym Graalem jest męskość. W przypadku mojej książki nie był to zabieg celowy, tak się jakoś ułożyło. Tym bardziej że, jak powiedziałam, nie jest to moja autobiografia, ja nie miałam z moją

mamą aż tak dramatycznych przeżyć. Moja mama była innym typem człowieka niż Basia Gnom. Jak pisałam tę książkę, to zdałam sobie w pewnym momencie sprawę z tego, że opisuję nie moją mamę, tylko ciocię Basię, która żyje i ma się dobrze. Ma osiemdziesiąt parę lat, siwiuteńką grzywkę i jest internautką. Zbiera anioły i jest osobą niezwykle sympatyczną. Natomiast chyba ciocia Basia stanowiła dla mnie taki archetyp matki, który kołysałam widocznie w sercu przez całe życie aż do momentu, kiedy zaczęłam pisać *Dom nad rozlewiskiem* i zdałam sobie sprawę, że myśląc o matce, nie myślę o własnej matce, tylko o cioci Basi. Czyli nosimy gdzieś w środku, w sobie jakieś wzorce. Czasami nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że ci mistrzowie pojawili się w życiu naszym. Może byli bardzo skromni, bardzo cisi, może to była pani od polskiego, może to była druhna w harcerstwie, może babcia lub ciocia. Bardzo dobrze tak myśleć, że się w duszy kogoś takiego ma.

– Czuje się Pani osobą, która może dawać rady innym?

– Jeśli chodzi o książkę, to zawsze powtarzam, że nie jest to żaden moralitet i że każdy może sobie wyciągnąć własne wnioski. Pewien młody człowiek strasznie sarknął na to, że Gosia jest bardzo niekonsekwentna, bo bardzo krytykuje swoje koleżanki z agencji, a sama nie jest od nich lepsza. Oczywiście, że tak! Ale my w ogóle wszyscy tacy jesteśmy, potrafimy udzielać rad np. naszym załamany przyjacielom, a same ze sobą mamy kłopot. Myślę, że potrafiłabym radzić i doradzać, bo mam swój wiek i proces obserwacji życia jest u mnie długi, ale czy czytelnicy muszą koniecznie tego słuchać i podporządkowywać się? Absolutnie nie.

– Znalazłam taki cytat: „Książki mają duszę, duszę tych, którzy je piszą, którzy je czytają i którzy o nich marzą”. To jak to jest z tą duszą książki?

– Myślę, że w debiutanckiej książce na pewno sprzedaje się swoją duszę. Nawet gdyby się pisało książkę fantastyczną czy historyczną, to też sprzedaje się tam własną duszę. To jest podobno nieuniknione. Natomiast nie wiem, jak to jest później. Nie wiem, czy w ogóle dam radę tyle książek napisać, żeby to sprawdzić. Ale myślę, że najciekawiej jest, kiedy przestaje się sprzedawać własną duszę, a próbuje się stworzyć duszę kogoś całkiem innego. To musi być rzeczywiście wielka sztuka. Ja na przykład nie

potrafię tworzyć paskudnych postaci. Mam taki zarzut stawiany przez koleżanki, że moje postaci są z natury dobre. „Małgośka, jak ty opisujesz zaszczanego pijaka, to ty go kochasz.” No... może tak właśnie jest. Chociaż nie jest wcale tak, że ja wszystkich rozgrzeszam. Są takie postaci, które budzą we mnie najgorsze uczucia i najgorsze instynkty i nie wiem, czy nie zamordowałabym kogoś takiego, gdyby stanął blisko mnie. Nie umiem jednak przelać tego na papier, nie potrafię sobie z tym jeszcze poradzić. Może dlatego piszę słodkie książki, dobre, ciepłe, a nie książki rozliczeniowe, takie jak np. *Gnój* Kuczoka – nie umiałabym takiej książki napisać. Chylę czoła, że Kuczok potrafił.

– Czy miała Pani wpływ na scenariusz filmu *Dom nad rozlewiskiem*?

– Próbowałam mieć, pisząc pierwsze wersje scenariusza. Ale to jest tak bardzo trudna sztuka, a ja jestem gospożą domową, która napisała sobie jakąś książkę i nie chcący zrobiła karierę. Żeby napisać scenariusz, trzeba być rzeczywiście fantastycznym rzemieślnikiem. Trzeba umieć, znać, trzeba dużo wiedzieć o filmie, o jego kuchni, o montażu, oświetleniu, scenografii, o akcji, dramaturgii, a ja tej wiedzy nie mam. Porwałam się z motywką na słońce zupełnie niepotrzebnie. Scenariusz jest w dobrych rękach i będzie pisany na chwałę tego serialu. Marzę tylko o tym, żeby został zachowany duch książki. Pytanie tylko, czy jesteśmy na to gotowi jako widzowie? Jesteśmy pod opieką Telewizji Polskiej, obsada jest już ustalona. W roli głównej gra Joanna Brodzik. Zarzucano Joasi zbyt młody wiek. Ale jest to podyktowane tym, że nie możemy robić serialu, który jest z góry nastawiony na widownię pięćdziesiąt plus minus, bo bardzo tę widownię zawężymy. Trzeba było odmłodzić wszystkich bohaterów do takich granic, żeby zagarnąć jak największą liczbę widzów. To jest komercja.

– Czy jest możliwe, że przestanie Pani pisać książki?

– Oczywiście liczę się z tym dlatego, że żyjemy w takich czasach, które w *Domu nad rozlewiskiem* nazwałam czasem „Jętek Jednodniówek”. Jestem

taką Jętką Jednodniówką. Nie jestem osobą pyśzałkowatą i wiem, że przyjdzie kiedyś taki moment i ktoś mi powie „wystarczy, wyszeptaliśmy się, nie umiesz, nie potrafisz”. Albo może się rozwinę. Zobaczymy. Myślę sobie, że jak już przestanę pisać książki, znajdę sobie mnóstwo takich zajęć, które będą mnie satysfakcjonowały, dlatego że wszystko jeszcze przede mną. Zachowuję się trochę tak, jak w powieści, którą uwielbiam, o Lwie Tołstoj. On, mając siedemdziesiąt dwa lata, po raz kolejny potwornie pokłócił się z żoną Zofią, trzasnął drzwiami mówiąc: „Zofia, odchodzę od ciebie, zaczynam nowe życie”. I na stacji przesiadkowej zmarł. Myślę, że zawsze jest czas, żeby zaczynać coś od nowa, coś nowego wymyślić. Ja sobie też coś wymyślę.

– Czy dobrze czuje się Pani w towarzystwie innych pisarek?

– Zauważyłam jedną rzecz. Mianowicie, zazwyczaj kiedy padają pytania związane z moimi kolegami czy koleżankami po piórze, to bywają to pytania prowokacyjne w rodzaju rzucania jabłka. I to jest bardzo dziwne, bo takich jabłek nie rzuca się między facetów. Nikt jakoś nie porównuje Kotowskiego i Krajewskiego. Mówi się tylko, że Krajewski pisze dobre kryminały i że Kotowski pisze dobre kryminały. Nie ma próby wbijania między nich żadnego klina. A jeśli chodzi o kobiety, to nam zadaje się takie pytania: czy Pani czuje się drugą Grocholą?, jak Pani czuje się w towarzystwie księżek Moniki Szwai?, czy jest Pani bliżej do Kowalewskiej? My, po pierwsze, ze sobą nie rywalizujemy. Ja tego nie odczułam. Jestem w bardzo miłych kontaktach z Moniką Szwają. Jestem w miłej korespondencji z Kasią Grocholą. Jestem w zażyłej korespondencji z Manułą Gretkowską, z Krysią Koftą, która jest mi bardzo bliska i wiekowo, i obie jesteśmy chyba kobietami ciepłymi. Nie odczułam ani razu ze strony żadnej z nich „och! wdarła się w nasze grono jakaś Kalicińska”. Wręcz odwrotnie. Ta serdeczność jest naprawdę bardzo duża, a półki księgarskie są tak pojemne, koleżanki się posunęły i czekamy na następną.

– Dziękuję za rozmowę.